

NACJONALIZM I „ZRASTANIE SIĘ” EUROPY

Dyskusja polityków polskich i niemieckich: Tadeusza Mazowieckiego, Mieczysława F. Rakowskiego, Helmuta Schmidta, Friedricha Schorlemmera

Do rangi wydarzenia urosła zorganizowana w Instytucie Zachodnim w Poznaniu dnia 20 września 1994 r. dyskusja „okrągłego stołu” polityków polskich i niemieckich. O „nacjonalizmie i »zrastaniu się« Europy” rozmawiali w Sali Malinowej Pałacu Działyńskich byli szefowie rządów Republiki Federalnej Niemiec i Polski, Helmut Schmidt, Mieczysław F. Rakowski i Tadeusz Mazowiecki, a także przedstawiciel dawnych środowisk dysydenckich w NRD, pastor Friedrich Schorlemmer. Prowadzona przez Jacka Kubiaka dyskusja przekształciła się w dialog wykraczający poza ramy tematyczne wytyczone przez organizatorów – poznański Instytut i mającą swą siedzibę w Hanowerze *Niedersächsische Landeszentrale für Politische Bildung*. Przed licznym audytorium i przy ogromnym zainteresowaniu mediów rozmawiano nie tylko o kwestiach narodowych, niebezpieczeństwie nacjonalizmów, stosunkach polsko-niemieckich i integracji obu części Europy, o roli Rosji i zagadnieniach bezpieczeństwa. Podjęto także wątek stanu wojennego w Polsce i reakcji części polityków zachodnich na wydarzenia z 13 grudnia 1981 r.

Prowadzący debatę Jacek Kubiak uznał spotkanie za

„(...) wyjątkową okazję, gdyż każda z osób, które siedzą za tym stołem jako nasi goście, ma swój indywidualny wkład w rozwój stosunków polsko-niemieckich. Stąd aż narzuca się, by poruszyć w tej rozmowie zagadnienia przeszłości. Musimy też jednak zaryzykować próbę prognozy dotyczącej przyszłości, zwłaszcza przyszłości Unii Europejskiej – w tym, jak daleko ma ona sięgać”

Na początek każdy z gości wygłosił swego rodzaju oświadczenie, związane z tematem dyskusji. Wypowiedź swą Helmut Schmidt rozpoczął od wspomnień z okresu szkolnego. Późniejszemu kanclerzowi głęboko zapadła w pamięć lekcja historii, na której omawiane były rozbiory Polski. Pakt Ribbentrop-Mołotow był dla młodego Schmidta prostą kontynuacją tego kierunku rozwojowego w dziejach Europy.

„Muszę przy tym wyznać, że o niegodziwościach i zbrodniach, które popełnili naziści na ziemiach polskich pod niemiecką okupacją, dowiedziałem się dopiero po wojnie” – zastrzegł się H. Schmidt. (...) Wszystko to jednak doprowadziło mnie do przekonania, że niezależnie od form ustrojowych i od osób rządzących w danej chwili obydwoma państwami, narody polski i niemiecki muszą dbać o wytworzenie między sobą dobrosąsiedzkich stosunków. Do przekonania takiego doszedłem w latach pięćdziesiątych. (...) Już w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych zabiegałem

o wytworzenie atmosfery porozumienia w relacjach Polska – Niemcy. Pan Rakowski pamięta moją wizytę, gdy w 1966 r. jako osoba prywatna po raz pierwszy przybyłem do Polski. Komunistyczne władze polskie nie przyjmowały mnie bynajmniej z otwartymi ramionami. Do rozmów ze mną oddelegowano panów Wojnę i Rakowskiego, i razem dyskutowaliśmy przez dwa dni. Był to pierwszy sondaż, jaki przeprowadził w Polsce niemiecki polityk socjaldemokratyczny z myślą o podjęciu rozmów ze stroną polską. Byłem też bardzo rad, gdy w kilka lat później kanclerz Willy Brandt przeforsował *Ostpolitik* i doprowadził do zawarcia traktatu z 1970 r. Niełatwo było przepchnąć ten traktat w *Bundestagu*, ze względu na postawę ówczesnej opozycji. Ja zaś kontynuowałem później politykę Brandta”.

Zdaniem H. Schmidta „Niemców i Polaków łączy ten sam geostrategiczny los, a ich polityka zagraniczna obciążona jest geostrategicznie w podobny sposób. Chyba nie ma innego narodu na świecie, który miałby tylu bezpośrednich sąsiadów co Polacy i Niemcy. Republika Federalna ma dziewięciu bezpośrednich sąsiadów – nie licząc Rosjan i Anglików, z którymi w przeszłości prowadziliśmy wojny. Polacy zaś mają dziś, o ile mi wiadomo, siedmiu bezpośrednich sąsiadów – nie licząc Austriaków, którzy odegrali w dziejach Polski istotną rolę. (...) Wiadomo, że nie zawsze łatwo jest żyć z sąsiadem w zgodzie. Zwykle ma się ich dwóch – jednego z lewej, drugiego z prawej strony. My zaś mamy siedmiu bądź dziewięciu. Dlatego teraz, po załamaniu się radzieckiego imperium, tak wielką nadzieją jest dla nas Unia Europejska – ona właśnie gwarantuje dobre stosunki z bezpośrednimi sąsiadami.

Już w czasach Winstona Churchilla, Jeana Monneta czy Roberta Schumanna, w czasach traktatów rzymskich z 1957 r., niezmiernie ważnym argumentem na rzecz wspólnoty europejskiej było zakotwiczenie Niemiec w Europie. Wagę tego doceniał również Adenauer. Dzisiaj, gdy zniknął radziecki imperializm, rozumiem także, że również zakotwiczenie Polski w Unii Europejskiej jest istotnym zabezpieczeniem się na przyszłość. Dopiero się okaże, jakie konsekwencje będzie miała «wielka cezura» roku 1989, ja jednakże jestem pewny, iż dożyję członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Mam wprawdzie 76 lat, ale tego dożyję.

Problemem nie jest to, czy obecna Unia liczyć będzie 15, 16, 17 czy też 19 członków. Jedną z podstawowych kwestii są przyszłe jej stosunki z Rosją. Rosja pozostanie mocarstwem światowym. Jest ona mocarstwem atomowym, posiadającym grubo ponad 10 tys. główek nuklearnych. Nikt nie może przepowiedzieć, jaka będzie polityczna, ekonomiczna i społeczna przyszłość Rosji. Nikt z Rosjan nie czuje się pewny swej przyszłości. Jest jednak pewne: Rosja pozostanie mocarstwem światowym. I popełnilibyśmy ciężki błąd, gdybyśmy – patrząc z Paryża, Hagi, Brukseli czy Bonn – stawiali Rosję na tej samej płaszczyźnie co Polskę. Polska – podobnie jak Niemcy – jest państwem o średnim znaczeniu. Nadal będąca mocarstwem światowym Rosja sięga od Bałtyku aż po wybrzeża Japonii. Ma liczącą wiele tysięcy kilometrów granicę z Chinami, graniczy też z innymi państwami azjatyckimi. Mocarstwo to jest samo w sobie kontynentem, stąd nie ma dlań miejsca w Unii Europejskiej. Pojawia się pytanie, jak możemy sobie na trwałe zagwarantować bezpieczeństwo wobec tego kolosa? Gdy mówię «kolos», mam na myśli prawdopodobne ponowne zjednoczenie Rosji z Ukrainą i Białorusią. Być może także z tą czy inną republiką środkowoazjatycką, ale zwłaszcza z Ukrainą i Białorusią. I wówczas będzie to naprawdę kolos.

Moim zdaniem bezpieczeństwo Polski nie będzie jeszcze w pełni zagwarantowane, gdy wejdzie ona do Unii Europejskiej. Jednoznacznie opowiadam się za wejściem Polski do Unii, ale istnieją też problemy natury bezpieczeństwa. Sama Unia Europejska nie może rozwiązać tych problemów w odniesieniu do Rosji”.

Tadeusz Mazowiecki rozpoczął swą wypowiedź od zwrócenia uwagi na to, „(...) z jakiego rodzaju dziedzictwem mamy do czynienia w Europie Środkowo-Wschodniej”, gdy mówimy o odradzaniu się ruchów narodowych w tym regionie. „Nad swobodnym rozwojem problemów narodowych, zarówno w sensie niepodległości państw, jak i w sensie swobody pełnego

pielęgowania tego, co można nazwać tradycjami narodowymi, ciążyła pewna skorupa polityczna systemu i obozu komunistycznego jako całości. Skutki tego ciężenia objawiały się zarówno wtedy, gdy system ten istniał, jak i po upadku komunizmu. W czasach, gdy system ten trwał, przejawiały się m.in. tym właśnie, że nawet w partiach komunistycznych posługiwano się problemami narodowymi do wewnętrznej walki politycznej (Polska w 1968 r.). T. Mazowiecki kontynuował: „Spotykamy się z pewną rozbieżnością: w Europie Zachodniej następuje proces w kierunku zwiększenia tendencji integracyjnych, w kierunku «Maastricht», natomiast my stajemy wobec problemu świeżo odzyskanej pełnej suwerenności. W sensie psychologicznym i społecznym te dwa zjawiska się zderzają”

T. Mazowiecki wyróżnił trzy typy, czy raczej kierunki, w jakich ewoluuje problematyka narodowościowa w krajach Europy Środkowo-Wschodniej po 1989 r. Zależy to

„od tego, czy w danym kraju procesy tworzenia demokracji i gospodarki wolnorynkowej są procesami dominującymi w stosunku do problemów narodowych i narodowościowych, czy też odwrotnie: problemy nacjonalizmu, narodowe – zarówno ze względu na historię tych krajów, jak i na aktualną sytuację polityczną – wysuwają się na plan pierwszy. (...) I na tym tle, najogólniej mówiąc, wyróżnić można trzy takie typy. Do pierwszego należy niewątpliwie Polska, mimo podziału także Czechy i Słowacja (podział państwa dokonał się w sposób spokojny) i na pewno Węgry. Drugi typ to absolutna dominacja, wykorzystanie problemów narodowych, nacjonalistycznych dla celów utrzymania pewnej władzy politycznej. Posłużenie się starymi konfliktami do rozbudzenia strasznego konfliktu to jest przykład byłej Jugosławii, w której marzenie o Wielkiej Serbii, polityka «czyszczenia etnicznego» doprowadziła do sytuacji strasznej, w której nie mamy do czynienia z wojną religijną. Mamy do czynienia z posłużeniem się konfliktami narodowymi, nacjonalistycznymi, całym splotem istniejących tu historycznych nawarstwień do walki politycznej, również przeformowanego starego aparatu, o utrzymanie się przy władzy – mówię tu zwłaszcza o stronie serbskiej. Sądzę, że Europa nie zdaje sobie ciągle w dostatecznej mierze sprawy z tego, jaką cenę zapłaci w przyszłości za swą bezradność w obliczu tej dramatycznej sytuacji.

I wreszcie trzeci typ, to jest zróżnicowana sytuacja poszczególnych narodów i państw b. Związku Radzieckiego. W tym przypadku trudno się nawet zdobyć na jakieś prorocтва, dlatego że ewolucja problemów narodowych i budowy jakiegoś systemu demokratycznego może tu przebiegać rozmaicie w różnych krajach i państwach wyłonionych z dawnego Związku Radzieckiego. Mimo pewnych tendencji narodowych czy nacjonalistycznych w państwach bałtyckich, tam raczej moim zdaniem dominujący będzie ten typ, który my przechodzimy. Sądzę, że kraje te przejdą tę drogę, w której problemy budowy demokracji i gospodarki wolnorynkowej będą dominować nad problemami nacjonalizmu. Natomiast bardzo wielkim problemem, o którym trudno mi się wypowiadać, jest problem rosyjsko-ukraiński, jak również to, czy na różnych obszarach Związku Radzieckiego nie dojdzie – co byłoby rzeczą niesłychanie niebezpieczną – do konfliktu typu jugosłowiańskiego”.

Nawiązując zaś do wypowiedzi Helmuta Schmidta **T. Mazowiecki** zaznaczył:

„Oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że Rosja jest i pozostanie mocarstwem, a my jesteśmy krajem zaledwie średniej wielkości. Zestawienie Polski i Niemiec w jednej klasie było bardzo dla nas uprzejme. Niemcy są jednak potęgą gospodarczą i z tego faktu nasuwa się dla nas odwieczny problem, wynikający z historycznych reminiscencji. Zresztą nie tylko dla nas, ale i dla innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej: czy polityka niemiecka wobec Polski jest jedynie funkcją polityki wobec Rosji, czy też Niemcy mają własną politykę polską czy środkowoeuropejską? To samo pytanie pod adresem Stanów Zjednoczonych. Twierdzą, panie kanclerzu, że jest to zasadniczy problem dla stabilizacji w Europie”.

Jako następny głos zabrał pastor **Friedrich Schorlemmer**. Mówiąc o przełomie roku 1989 podkreślił, iż bardzo szybko nabrał on cech narodowych:

„w miejsce świec pojawiły się flagi, zamiast ruchu obywatelskiego – partie, zamiast dialogu przy Okrągłym Stole – monologi mówców na wiecach wyborczych, a zamiast kwestii losu Europy Wschodniej – kwestia jedności Niemiec”.

Nie bez goryczy mówił pastor Schorlemmer o zapatrzeniu obywateli w możliwość szybkiej poprawy swej sytuacji poprzez zwykłe przyłączenie Niemiec Wschodnich do politycznie i gospodarczo stabilnej RFN. „Nie było czasu na polityczną autorefleksję”.

Zatrzymując się przy problemie stosunków polsko-niemieckich, pastor **Schorlemmer** z ubolewaniem zwrócił uwagę, iż po przełomie kontakty między środowiskami dawnych enerdownskich dysydentów a polskimi eks-opozycjonistami były tak znikome. „Po prostu byliśmy zajęci swoimi sprawami, a Polacy swoimi”.

F. Schorlemmer kontynuował:

„Obecnie, w czasie moralnego szybkiego prania i politycznej amnezji chciałbym stwierdzić wyraźnie: właśnie wy, przedstawiciele narodu polskiego, byliście lodołamaczami wolności. Byliście genialnymi wynalazcami i cieślami Okrągłego Stołu. Właśnie temu Okrągłemu Stołowi zawdzięczamy pokojowy przełom, którego zresztą nie spodziewaliśmy się. Była to niewiarygodna chytryść polityczna, czy też – jakby powiedział Brecht – chytryść prawdy, polegająca na daniu tym, którzy uznawali jedynie swój prymat prawdy i władzy, możliwości rozmawiania przy Okrągłym Stole bez utraty twarzy. (...)

Niemcy zachodni przez 40 lat orientowali się na Zachód, Niemcy wschodni także. W rezultacie Niemcy wschodni – aczkolwiek nie wszyscy – wyłączyli Polskę ze swej świadomości. Wcześniej (w czasach NRD) Polacy patrzyli ponad nami na Zachód, podobnie jak teraz Niemcy i Rosjanie spoglądają ponad wami. Polacy szukali kontaktów w Niemczech Zachodnich, a my, Niemcy wschodni, byliśmy – chociaż to nie nasza wina – kłamrą, odcinając Polskę od Zachodu. Gdyby nas nie było, tak zdawaliście się mówić, Polacy nie musieliby czekać tak długo na wolność. Nie mówiliście tego wprost, ale też nie wybaczyliście nam tego. A z drugiej strony Niemcy wschodni wyносили się ponad Polaków, również o tym powinniśmy w końcu otwarcie mówić. Nigdy kierownictwo *SED* i społeczeństwo NRD nie było tak jednomyślne jak w latach 1980-1981 – w tych haniebnych dla mnie miesiącach. (...) »Polacy strajkują, strajkują zamiast pracować«, mówili Niemcy wschodni (...), wynosząc się ponad polskie dążenia wolnościowe i postulaty budowy państwa praworządne. A później zawstydziło mnie coś innego: wspaniałomyślność i serdeczność olbrzymiej większości Polaków. Wiecie, jak byli traktowani Polacy, gdy chcieli coś kupić w Niemczech wschodnich. (...) Gdy nie było majtek, ci na górze mogli zwalić to na Polaków. Tak rozbudzało agresję. Ale gdy Niemcy jeżdżą dziś na zakupy do Polski, ponieważ tam jest tanio, Polacy odnoszą się do tego na luzie. Uważają za rzecz oczywistą, że kupuje się tam, gdzie jest tanio. (...) Tej wielkości życzę czasami nam, Niemcom wschodnim, którzy wykorzystywaliśmy Polskę jako śmietnisko dla trabantów i wartburgów. Z jakim luzem reagowaliście na nasze wielkie, polityczne, i małe, osobiste świństwa. Mam wielki respekt przed tym narodem, jakkolwiek czarne owce są wszędzie. Co mnie dziś porusza, to obojętność zwłaszcza Niemców wschodnich w stosunku do Polaków. Nie odczuwamy czegoś takiego, jak uczucie zbiorowej wdzięczności. Istnieje jednak polityczna wola, zwłaszcza rządu Brandenburgii i premiera Stolpego, by wykorzystać możliwości, jakie pojawiają się dla sąsiadów z obu brzegów Odry. Przyjaźń niemiecko-polska rozstrzygnie się właśnie tam, we Frankfurcie, Görlitz i Guben. Trzeba mieć tylko więcej cierpliwości”.

Na zakończenie pastor **Schorlemmer** uznał za stosowne stwierdzić: „To cudowne mieć takich sąsiadów jak Polacy, którzy nas wciąż zawstydzają swą postawą w obliczu tego, co wam wyrządziliśmy. Uważam wręcz, że to trudna do pojęcia wspaniałomyślność: zaprosić prezydenta Niemiec w 50. rocznicę Powstania Warszawskiego i nie mieć mu za złe, że pomylił Powstanie w Getcie z Powstaniem Warszawskim. I jeszcze jedno zdanie – proszę mnie tylko nie zrozumieć źle. Również w Polsce nadejdzie taki czas, że w miastach, które dziś są polskie i polskie pozostaną, pamiętać się będzie o ich niemieckiej przeszłości”.

Jako ostatni w tej części dyskusji głos zabrał **Mieczysław F. Rakowski**:

„Dla mnie istotne pytanie brzmi: co wniosą narody Europy Środkowo-Wschodniej do istniejących struktur zachodnioeuropejskich, przy założeniu, że realnie się utworzenie zjednoczonej Europy? Co wniosą oprócz woli uczestnictwa w tych strukturach?

Wiano, które wnosimy do tego małżeństwa, to – w moim przekonaniu – nadzieja, a nawet wiara, że wspólnie z mieszkańcami Europy Zachodniej wspólnie i sprawiedliwie dzielić będziemy ogólnoeuropejski bochen chleba. Wprawdzie ta wiara w ostatnich 2-3 latach nieco osłabła, ale istnieje nadal. W moim przekonaniu narody te wnoszą kompleks ubogiego krewnego, który ma świadomość, że cała epoka dzieli go od jego bogatego wujka czy kuzyna.

Istnieje opinia, że za istnienie tej świadomości winę ponoszą reżimy komunistyczne. Nie ulega wątpliwości, że zamknięcie się bloku wschodniego przez ponad 40 lat w kręgu dogmatów gospodarczych zwanych »księżycową ekonomią« w jakimś stopniu opóźniło procesy cywilizacyjne – może nawet w dużym stopniu, to jest do ustalenia. Ale warto pamiętać, że ta część Europy, którą zamieszkujemy, jest od wieków zapóźniona we wszystkich niemal dziedzinach rozwoju gospodarczego i społecznego w stosunku do zachodniej części naszego kontynentu. Tak po prostu zadecydowała historia. W związku z tym uważam, że warto postawić pytanie, jaka jest realna szansa nadrobienia tych trudności przy założeniu, że Europa Zachodnia – niezależnie od trudności, jakie przeżywa na tym czy innym etapie – nie będzie przecież stała w miejscu i czekała na »podciągnięcie« tych krajów do swego poziomu. Na dziś i na jutro Europa Środkowo-Wschodnia, z wyjątkiem Czech, wnosi niedorozwój demokratycznego myślenia i demokratycznych zachowań. Okres międzywojenny w naszych krajach – z wyjątkiem Czech – to rządy dyktatorskie lub półdyktatorskie. A powojenne czterdziestolecie to także – w innej postaci – rządy dyktatorskie, choć w imię innej doktryny.

Do europejskich struktur, do których mają wejść narody Europy Środkowej i Wschodniej, wnosimy także rozbudzone w wielu środowiskach, podsypane przez nacjonalistów poczucie odrębności i suwerenności. I wreszcie ta część Europy wnosi do Europy Zachodniej konflikty narodowościowe. Trzy lata temu w redagowanym przeze mnie miesięczniku »Dziś« zamieściliśmy artykuł, w którym naliczyliśmy 27 konfliktów w Europie Wschodniej i Środkowej. Nie zaliczyliśmy do nich konfliktów, które doprowadziły do rozpadu Jugosławii i tych, które mają miejsce na terenie byłego Związku Radzieckiego, bo było na to za wcześnie. Niektóre z tych konfliktów płoną ogniem widocznym w całej Europie, inne ledwie się żarzą, a jeszcze inne dopiero mogą wybuchnąć.

A zatem to wiano wnoszone do Europy Zachodniej ma nie tylko cechy pozytywne, ale także negatywne. Nie jestem przeciwnikiem integracji europejskiej, ale uważam, że nie wolno bagatelizować faktów, które po prostu istnieją, ani też tworzyć mitów i rozsiewać nowych iluzji. Być może, że narody Europy w XXI w. potrafią uporać się z tymi zjawiskami negatywnymi, ale nie można wykluczyć, że będą one trwałe, a ich oddziaływanie na Europę Zachodnią będzie negatywne. W tym kontekście interesuje mnie pytanie, jak zachowa się Europa Zachodnia w przypadku, gdy istniejące dziś konflikty bądź też sprzeczności między Europą Zachodnią i Wschodnią zaczną w jakiś sposób »podmywać« struktury europejskie, stworzone na terenie Europy Zachodniej w ostatnich 40 latach. Jest to pytanie otwarte. Trzeba się też liczyć z tym, że nacjonalizm w Europie Środkowo-Wschodniej pozostanie zjawiskiem trwałym na jakiś okres, w dającym się przewidzieć czasie będzie żywy – z różnych powodów – i że może on pobudzać do większej aktywności siły nacjonalistyczne lub skrajnie prawicowe w Europie Zachodniej. Słowem, może dojść do osłabienia procesów integracyjnych, które mają miejsce w Europie Zachodniej od wielu lat.

Na szczęście w Europie Środkowo-Wschodniej nie ma dziś pogody dla ideologów i teoretyków, ponieważ na ołtarzu postawiono przedsiębiorczość, dolara i markę. W związku z tym nacjonałisci w Europie Środkowo-Wschodniej nie mają autorytetów, które by uzasadniały wielkość idei nacjonalistycznej. Być może jest to kwestia czasu, bo zawsze w danym momencie jakiś »mesjasz« może się pojawić.

Nacjonalizm, który obserwujemy w Europie Wschodniej i Środkowej ma swe historyczne korzenie, jest albo krwawy, albo żenująco banalny, wręcz prostacki. Ten pierwszy obserwujemy w Jugosławii i na terenie byłego ZSRR, ten drugi – w potocznych opiniach o innych narodach, typu »Litwinii zesłi ledwo co z drzew«, »Rosjanin jest pazerny«, »Rumuni chodzą w łapciach«, »Węgrzy są okrutni«, »Bułgarzy są niezorganizowani«. Do tego dochodzi jeszcze cała filozofia poszczególnych narodów, że np. my jesteśmy przedmurzem, a tamci »wynaleźli« język słowiański itd. Mówiąc o przyszłości Europy trzeba dostrzegać te zjawiska i przeciw nim występować. Uważam, że w tym kontekście istotnym problemem jest to, na ile politycy i intelektualiści Europy Zachodniej są zainteresowani badaniem tej rzeczywistości, jaka istnieje w krajach Europy Środkowej i Wschodniej (...).

Pan kanclerz poruszył też problem Rosji. Mówiąc o nacjonalizmach, o fundamentalizmie politycznym, o przyszłości Europy, naszym miejscu w Europie, chciałbym zadać nieśmiałe pytanie: co z Rosją? Przecież Rosja ma wielowiekowe tradycje rządów dyktatorskich białych i czerwonych carów, i jeśli ma to być nieformalne uczestnictwo Rosji w strukturach europejskich, to jestem raczej pesymistą. Jeśli przyjmiemy – a ja się z tym zgadzam – że jakby przeznaczeniem Polski jest związanie się z zachodnimi strukturami, to jeśli nie będzie to prowadzić do zintegrowania Rosji z Europą, wówczas w przekonaniu Rosjan będzie to wyglądało na próbę ponownego tworzenia kordonu sanitarnego. Jak temu przeciwdziałać?

Rosja pozostanie mocarstwem, ale tu nie chodzi o zewnętrzne tego objawy, lecz o to, co Niemcy nazywają *Weltanschauung*, który jest – moim zdaniem – sprzeczny z tym, do czego świadomie lub półświadomie dążą narody europejskie na zachód od Bugu. Tak się ułożyła historia”.

M. F. Rakowski zaznaczył, że jest już od dawna zwolennikiem świadomego pojednania między narodami polskim i niemieckim. Stwierdził jednak, że obecnie we wzajemnych stosunkach

„pozostaje kilka znaków zapytania. Jest prawdą, że w społeczeństwie polskim istnieją obawy, że zjednoczone Niemcy zechcą ponad naszymi głowami uprawiać politykę mocarstwową wespół z Rosją. Borys Jelcyń był mam nadzieję trzeźwy, gdy wygłaszał swe przemówienie podczas pożegnania wojsk rosyjskich w Niemczech. Powiedział on wówczas, że bez przyjaźni między Rosją a Niemcami nie można rozwiązać żadnego problemu europejskiego. Zgadzam się z tym, powstaje tylko pytanie, jakie miejsce w tej polityce wyznacza się Polsce? Bardzo proszę niemieckich przyjaciół, by nie zrozumieli tego jako przejawu megalomanii narodowej, ale my od wieków jesteśmy ściśnięci przez dwa silniejsze od nas narody. I tak pozostanie. Gdybyśmy nawet stanęli na głowie, to nie będziemy mieli tyle ludności ani takiego poziomu, jaki mają Niemcy czy Rosja. Taka jest rzeczywistość”.

Były polski premier zgłosił przy tym znamienne zastrzeżenie: „Zastanawiam się nad tym, czy przypadkiem nie grozi nam to, że z terenu byłego NRD wyjdą w przyszłości żądania natury rewindykacyjnej w stosunku do Polski. Dlaczego mówię o tym otwarciu i na czym opieram to rozumowanie? Sprawa uznania granicy na Odrze i Nysie przez Niemcy Zachodnie była przez 20 lat w różny sposób macerowana. Były dyskusje (np. memorandum Kościoła ewangelickiego, także katolicy wypowiedali się w tej sprawie), słowem przez 20 lat istniała kłótnia między zwolennikami uznania tej granicy i przeciwnikami. Przysnaję, że moje władze wtedy skrzętnie tę dyskusję wykorzystywały, kładąc większy nacisk na tych, którzy byli przeciwni (z tego wynikała teza

o zagrożeniu przez rewizjonizm zachodniemiecki) aniżeli na tych, którzy byli za uzaniem tej granicy. I przez dwadzieścia lat Niemcy zachodni przekonali siebie, że należy tę granicę uznać za ostateczną. Jak to było w NRD, to szanowny pastor wie najlepiej. Pewnego dnia po prostu powiedziano: *Befehl ist Befehl*, uznajemy granicę, bo tak nam każą. Być może były »podskórne« dyskusje, ale publicznych debat, jakie przez 20 lat toczyły się w Republice Federalnej, nie ma. Stawiam więc pytanie, czy nie istnieje niebezpieczeństwo, że po tym, jak *Ossis* staną trochę na nogach (bo jeszcze jest to taki kulawy twór), nie pojawi się nagłe dążenie, by wnieść do tych zjednoczonych Niemiec swoje wiano – że »nie jesteśmy gorszymi Niemcami i w związku z tym upominamy się jednak o Szczecin, Wrocław czy Jelenią Górę«. Formułuję to podejrzenie na podstawie tego, że teoretycznie nie należało spodziewać się w Niemczech wschodnich ekscesów nacjonalistycznych, a tymczasem doszło do nich. Chciałbym usłyszeć od niemieckich przyjaciół, czy moje obawy są całkowicie bezpodstawne, czy też w tym, co mówię, istnieje jakieś ziarno prawdy. Chcę przy tym dodać, że naprawdę nie jestem w swej postawie antyniemiecki – tak się złożyło w moim życiu. Ale wydaje mi się, że sprawa nastrojów, postaw, poglądów *Ossis* w stosunku do Polaków i Polski jest bardziej skomplikowana, niż to się wydaje”.

Prowadzący rozmowę **J. Kubiak** skierował jednak dyskusję na inny tor, wspominając o znaczeniu tożsamości europejskiej. Zagadnięty o to **H. Schmidt** odparł, że zapewne dopiero przyszłe stulecie przyniesie na to odpowiedź.

„I odpowiedzi na to będą zapewne w Polsce, w Niemczech, we Francji, Holandii, Włoszech czy w Skandynawii w miarę podobne. Natomiast na Bałkanach, na Ukrainie czy w Rosji odpowiedzi będą już inne. Kultura europejska jest poniekąd unikatem w dziejach świata. Mamy trzy tuziny narodów, mówiących niemal trzema tuzinami języków. Narody te wytworzyły jednak wspólną literaturę, muzykę, w dużej mierze wspólne sztuki plastyczne – malarstwo, rzeźbę, architekturę – i potrzebowały na to około tysiąca lat.

Naród polski istnieje mniej więcej od tysiąca lat, podobnie jak niemiecki czy angielski. Jako naród Włosi są o wiele starsi. Kultura to jednak więcej niż literatura, muzyka, teatr czy malarstwo. To także kultura prawna, polityczna, gospodarcza. I w tych trzech ostatnich dziedzinach Niemcy na przykład względnie późno stali się częścią kultury europejskiej. W Polsce początki demokracji pojawiły się wcześniej niż w Niemczech, ale początki kultury prawnej były nieco wcześniej w Niemczech niż w Polsce, ale w obu tych krajach znacznie później niż we Francji. Są też regiony geograficznej Europy nadal pozbawione kultury prawnej – dotyczy to Rosji, Ukrainy, znacznej części Bałkanów. Zakładam, że odpowiedzieć na pańskie pytanie będzie łatwiej, gdy dwa – trzy pokolenia pożyją wspólnie, w ramach politycznej i ekonomicznej Unii Europejskiej”.

Prowadzącego dyskusję interesowało też, czy dziś także aktualny jest jeden z powodów, dla którego utworzono Wspólnotę Europejską – chęć „związania” Niemiec i lęk przed niemieckim nacjonalizmem.

„Był to jeden z dwóch motywów – odparł b. kanclerz. Drugim było dążenie do zbudowania bariery przeciwko bolszewickiemu imperializmowi. Ten drugi motyw nie odgrywa dziś żadnej roli, bo nie ma już ani bolszewickiego imperializmu, ani stalinizmu. Rosja jednakże jest i będzie mocarstwem światowym, co ją odróżnia od Polski czy Niemiec. Motyw, o którym pan wspominał – uwiązania Niemiec – z pewnością odgrywa nadal istotną rolę. Zakotwiczenie w Europie leży zresztą w interesie mojego kraju. I dla Polski, i dla Niemiec zakotwiczenie w Unii jest ważne, chociażby ze względu na mało szczęśliwe położenie geograficzne: mamy bardzo dużo sąsiadów. (...) Obecność w wielkiej Unii Europejskiej czyni niepodobnymi konflikty z sąsiadami. Gdybyśmy w ogóle nie mieli sąsiadów, Unia Europejska nie byłaby dla nas tak ważna”.

J. Kubiak zapytał:

„Czy nie lęka się pan, że poszerzona Unia może ulec w późniejszym okresie rozbiću wskutek na przykład konfliktu polsko-ukraińskiego czy rumuńsko-węgierskiego? Wielokrotnie formułował pan wątpliwości, czy duża Wspólnota będzie na to odporna”.

H. Schmidt odparł:

„Nie sądzę, by do Unii mogła wejść Ukraina czy też nawet Rumunia. Na pewno Węgry, Polska i Republika Czeska. Za mało znam Słowację, dawno tam nie byłem. Obaw tego rodzaju nie mam. Przeciwnie, sądzę że ten wielki polityczny i gospodarczy kompleks 18-20 państw europejskich będzie miał ogromną siłę promieniowania ekonomicznego, większą niż dziś Stany Zjednoczone, a porównywalną dopiero z powstającą strefą wolnego handlu między USA, Kanadą i Meksykiem. Jednak my, Europejczycy, nie powinniśmy przesadzać i sądzić, że należy iść jeszcze dalej na wschód czy na południowy wschód (...). Rozumiem, że na Bałkanach wszyscy możliwi politycy byliby chętni wejść do Unii Europejskiej, ja jednak protestowałbym przeciwko temu”.

Spore ożywienie wniosło nawiązanie J. Kubiaka do wcześniejszej wypowiedzi byłego kanclerza. Prowadzący dyskusję przypomniał stwierdzenie H. Schmidta, że w imię pojednania polsko-niemieckiego politycy z Bonn musieli zacieśniać kontakty z każdym rządem w Warszawie. Tymczasem w łonie opozycyjnie nastawionej części polskiej opinii publicznej panowało przekonanie, że ten „flirt” idzie za daleko. Tak było podczas konferencji prasowej Honeckera i Schmidta 13 grudnia 1981 r. w stolicy NRD. Kanclerz RFN powiedział wówczas, że jest wydarzeniami w Polsce równie poruszony, jak sekretarz generalny Honecker, który siedział obok. „My w Polsce byliśmy panie kanclerzu bardzo tym poruszeni, że pan jest dokładnie tak samo poruszony jak pan Honecker”.

H. Schmidt skomentował przypomniany incydent:

„Ten epizod ma swą historię. My w Europie Zachodniej i my w Bonn już od miesiąca obawialiśmy się radzieckiej interwencji w Polsce. Mieliśmy informacje naszego wywiadu i wyniki obserwacji satelitarnych, wskazujące na koncentrację wojsk radzieckich przy wschodniej granicy Polski. Obawa przed taką interwencją skłoniła mnie dwa razy do przesunięcia uzgodnionej już wizyty u Honeckera. W 1981 r. odnosiłem wrażenie, że niebezpieczeństwo nie jest takie duże, ale pewny nie byłem.

Latem 1981 r. złożył mi w Bonn wizytę przewodniczący Związku Kościołów Ewangelickich (w NRD), biskup Schonherr. Towarzyszył mu Stolpe, obecny premier Brandenburgii. Rozmowa zesłała oczywiście na Polskę. Powiedziałem obu gościom z Niemiec wschodnich, by po powrocie przekazali jak najwyżej tamtejszemu kierownictwu, że niezależnie od tego co zrobią Sowieci wobec Polski, NRD nie powinna na miłość Boską w tym uczestniczyć. Pamiętam bardzo dobrze, że za Ulbrichta niektóre oddziały z NRD brały udział w marszu na Pragę. To moje przesłanie do Honeckera zostało zresztą później, w sfalszowanej wersji, ujawnione na podstawie akt *SED* czy *Stasi*. Dzięki Bogu istnieją jednak zapiski niemieckiego dyplomaty, który siedział obok mnie i notował każde słowo. I są takie, jak właśnie to przedstawiłem.

Pojechałem zresztą do Honeckera bez czerwonego dywanu, niemalże z wizytą prywatną, a następnego ranka w Polsce generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Niektórzy Polacy uważają, że powinienem wówczas przerwać wizytę w Niemczech wschodnich. Ale właściwie dlaczego? Czy przyniosłoby to poprawę sytuacji w Polsce? Byłaby to reakcja emocjonalna, która nie leżałaby

w interesie pokoju w Europie. Pamiętam ten poranek, gdy dotarła do nas wiadomość o stanie wojennym. Powiedziałem prasie, że głęboko żałuję, lecz było to konieczne. Miałem na myśli, że było to konieczne w celu uniknięcia radzieckiej interwencji. Niektórzy ochoczo »zrozumieli« to inaczej, mówiąc później: Schmidt w rzeczywistości stoi po stronie pana Jaruzelskiego przeciwko »Solidarności«. To nonsens. Już przed 13 grudnia 1981 r. odnosiłem wrażenie, które umocniło się wraz z nadejściem wiadomości o ogłoszeniu stanu wojennego, a i dziś uważam tak samo – że Jaruzelski stał przed strasliwym dylematem. Musiał się liczyć z tym, że radzieckie groźby są poważne, a nie tylko werbalne. To nie była tylko koncentracja wojsk. A co było mniejszym złem dla jego narodu? Albo radziecka interwencja, jak na Węgrzech w 1956 r. albo w Czechosłowacji w 1968 r., albo też próba przeprowadzenia we własnym kraju tego, co odwiódłoby Sowietów od ich zamiaru. Tej dramatycznej sytuacji nie chcę ani oceniać, ani potępiać”.

H. Schmidt powrócił też do podniesionej przez M. F. Rakowskiego kwestii antypolskiego rewizjonizmu.

„Obawy te uważam za zrozumiałe, lecz nieuzasadnione. Sądzę zresztą, że w Niemczech zachodnich antypolski rewizjonizm utrzymywał się dłużej, niż we wschodnich. W Niemczech wschodnich powszechna była arogancja, postawa pogardliwa w stosunku do Polaków, ale nie rewizjonizm. W Niemczech Zachodnich natomiast antypolski rewizjonizm reprezentowały zwłaszcza organizacje, tzw. związki uciekinierów i wypędzonych”.

Były kanclerz polemizował też z rzuconą wcześniej przez F. Schorlemmera uwagą, że Helmut Kohl dał wyraz swej zręczności wewnątrzpolitycznej, gdy w 1990 r. zwlekał z ostatecznym uznaniem polskiej granicy zachodniej: „Kosztowałoby go to może z 30 tysięcy głosów”, skwitował to Schmidt.

„Nie sądę – kontynuował **H. Schmidt** – by w pokoleniu naszych dzieci czy wnuków należało się liczyć z nawrotem jakiegokolwiek antypolskiego rewizjonizmu. Nie wierzę w to, nie widzę żadnych tego symptomów. Co innego, że występują przejawy pogardy wobec tzw. *polnische Wirtschaft*, czy jak tam to się nazywa, ale to coś innego niż rewizjonizm. To także nie nacjonalizm. To takie zadęcie. Większość ludzi musi mieć kogoś, na kogo może patrzeć z góry (...)”.

Mówca przypomniał, że oprócz Rosji liczyć się należy w przyszłym stuleciu ze Stanami Zjednoczonymi, a także Chinami i Japonią. Sami Japończycy nie zdają zresztą sobie sprawy z tego, że ich kraj jest na 3 czy 4 miejscu na świecie pod względem wydatków na obronę.

„Jeżeli europejska integracja nadal odnosić będzie sukcesy – w co wierzę i o co zabiegam – być może Unia Europejska będzie w ciągu następnego stulecia piątym mocarstwem światowym. Pod względem ekonomicznym, politycznym, psychologicznym i w znacznie mniejszym stopniu militarnym. Dla Rosji zaś ważniejszymi partnerami są inne mocarstwa. Najważniejszym partnerem, czy też najważniejszym przeciwnikiem, są Stany Zjednoczone. Niemal tak samo ważne są dla Rosji Chiny czy Japonia. (...) A czwartym partnerem będzie dla nich Unia Europejska. Jeśli kiedyś jakiś przywódca Republiki Federalnej wpadnie na pomysł, że on i jego kraj będzie równorzędnym partnerem dla Rosji, światowego mocarstwa, to wówczas niech Bóg nas ma w swojej opiece. Na to jednak się nie zanosi”.

Jako następny głos zabrał **F. Schorlemmer**.

„Nie jestem w stanie zaferować wizji z perspektywy globalnej, a raczej z perspektywy żabiej. (...) Zimą 1981 r. byliśmy wewnątrznie rozdarci. Helmut Schmidt jest w NRD, podczas gdy w Polsce wprowadzony został stan wojenny. I NRD pokazuje, czym jest. Gdy Helmut Schmidt

odwiedzał Güstrow, miasto to składało się wyłącznie z mieszkańców Güstrow, to znaczy ze służby bezpieczeństwa. I tę upiorną atmosferę pokazano nam w telewizji. Przyszło mi wówczas do głowy, że jeśli Polacy zamkną teraz granice, to u nas będzie już wszystko zamknięte. Kilku z nas protestowało przeciwko sposobowi relacjonowania o Polsce. Napisałem (w tej sprawie) list do Komitetu Centralnego. I otrzymałem odpowiedź, że trzeba robić wszystko przeciwko Polsce, ponieważ działają tam siły faszystowskie, hordy podobne do SA. Mam ten list, który otrzymałem z »Neues Deutschland«. Aby usprawiedliwić wejście do Polski oddziałów wschodniemieckich, trzeba było posłużyć się faszystowskim straszakiem. Miała to być akcja antyfaszystowska, międzynarodalistyczna. Nie doszło do niej. Muszę powiedzieć o ówczesnych dyskusjach w dowództwie Narodowej Armii Ludowej i kierownictwie partyjnym, według biblijnej maksymy »panie (towarzyszu) Breżniew, odsuń ode mnie ten kielich«. Wiedzieliśmy wówczas, że gdyby socjalistyczne oddziały wkroczyły do Polski by spełnić swój »internacjonalistyczny obowiązek«, to widziano by w nich przede wszystkim armię niemiecką, a nie socjalistyczną. Myślę, że partia była zadowolona, że wprowadzono w Polsce stan wojenny. My natomiast uważaliśmy, że wszystko skończone, że wszystko zamarzło. Tak jak na tych obrazkach z Güstrow...

I druga sprawa. Sądzę, że nie ma obecnie żadnych wyraźnych rewizjonistycznych dążeń i nastrojów, także w Niemczech wschodnich. Mam przy tym jedną radę: chociaż pytania należy zadawać bez żadnych tabu, to nie budźmy śpiących psów. Tym bardziej, że to tylko kilka starych, zabiedzonych kundli. Potrząsając nimi, jedynie prowokuje się je do szczekania (...)

M. F. Rakowski zadeklarował:

„Gotów jestem wygłosić mowę obrończą w sprawie stanowiska, jakie zajął wówczas, w grudniu 1981 r., Helmut Schmidt i socjaldemokraci. Wprowadzenia stanu wojennego nie można odrywać od ówczesnej sytuacji politycznej w Europie i ówczesnego nastawienia kierownictwa radzieckiego w osobach starszych panów, widzących świat zupełnie inaczej aniżeli my widzimy go teraz. Obawy niemieckich socjaldemokratów przed skutkami ewentualnej interwencji wojskowej w Polsce nie były nieuzasadnione. Doprowadza mnie do wściekłości, gdy czytam dziś wypowiedzi na temat stanu wojennego, które są oderwane od tamtej sytuacji. Oczywiście nie znajdziemy żadnych dowodów na to, że wejście wojsk radzieckich było zaplanowane. Jeśli nawet takie dowody są, to znajdują się one w archiwach wojskowych. W odróżnieniu od innych archiwów, wojskowi radziecy nie ujawniają żadnych dokumentów. To wyjdzie może za wiele lat. Ale proszę pamiętać – tu zgadzam się z kanclerzem – że był to dylemat dla nas, dla naszego pokolenia, które widziało Budapeszt i przeżywało Pragę. Trzeba było się obawiać, że to może nastąpić.

Opowiem państwu o pewnym zdarzeniu, o którym po raz pierwszy mówię publicznie. Pod koniec 1981 r. naszym ambasadorem w Bonn był pan Chyliński, może niektórzy go pamiętają. Przyjechał do Polski, chyba w październiku 1981 r., a przed przyjazdem odbył rozmowę z ambasadorem ZSRR w Bonn, był nim wtedy chyba Siemionow. I ten mu przedstawił następującą opinię. Powiedział: Polacy mają to w tradycji, że co drugie pokolenie muszą się wykrwawić. Mieli Powstanie Styczniowe, mieli Powstanie Warszawskie, teraz jest pora na kolejne powstanie. A my – mówił Siemionow – nie wejdzimy ot tak po prostu. Wejdzimy wtedy, kiedy nas poproszą o to, aby położyć kres rozlewowi krwi w Polsce.

Proszę wziąć to pod uwagę, że żaden z ówczesnych przywódców polskich nie mógł bagatelizować tego niebezpieczeństwa. Można napisać scenariusz, i to nie będzie *science fiction*, co by się stało, gdyby doszło do interwencji. Po pierwsze, nie byłoby nas, pana Mazowieckiego też nie. Przypominam sobie rozmowę z Jaruzelskim w październiku 1981 r., w której powiedział do mnie tak: Mietku, obaj jesteśmy oficerami. Ty jesteś oficerem rezerwy, ja oficerem służby czynnej. Wiemy, co ze sobą zrobić, jak wejść. Każdy z nas miał oczywiście pistolet, on – służbowy, a ja też otrzymałem wówczas broń. I otóż ja chciałbym, żeby w tych ocenach, które są wygłaszane o nas, jako o autorach stanu wojennego, nie zapomniano o okolicznościach, w jakich działaliśmy. I dlatego uważam, że ci politycy na Zachodzie, którzy wówczas także bali się skutków

ewentualnego wejścia oddziałów interwencyjnych do Polski, historycznie patrząc mieli rację – chociaż w sensie moralnym można było różnie oceniać taką postawę. I to dla mnie jest sprawa najważniejsza. Ja jestem zresztą spokojny o ocenę tej sprawy przez historyków – tych, którzy nie ulegają lub nie ulegną w przyszłości tanim, propagandowym zawołaniom.

Jeżeli chodzi o moje pytanie dotyczące byłej NRD, zadałem je dlatego, że takie poglądy i obawy istnieją w polskim społeczeństwie. Co więcej, istnieją także obawy, że naprawę Niemcy ponad głowami Polaków będą się dogadywać z Rosją kosztem Polski. Uważam, że jest zupełnie odmienna sytuacja, ale te poglądy istnieją. W Warszawie każde zbliżenie niemiecko-rosyjskie wywołuje dreszczyk, a w perspektywie pojawia się Rapallo. To trzeba po prostu uwzględnić. Jest to głęboko zakorzenione w umysłach co najmniej części Polaków. Osobiście cieszę się, że w tej części Polski, z której ja również pochodzę (mimo że chodząc po ulicach Poznania w czasie okupacji musiałem schodzić z chodnika, gdy szedł Niemiec w mundurze), także w tym Instytucie, istnieje wola budowania rzeczywistych mostów. Z drugiej strony trzeba uwzględnić to, co tkwi głęboko w ludzkich umysłach. To myślenie jest silniejsze od wszelkich racjonalnych uogólnień. Czy można je usunąć. Owszem, ale wymaga to także aktywności ze strony niemieckiej. Boleję nad tym, że pokolenie, które już wymarło (mam na myśli kanclerza Brandta, Wehnera, Carlo Schmidta), nie zostało do tej pory zastąpione przez polityków, którzy by tworzyli może nie polskie lobby, ale znalazłoby się jednak na pierwszej linii wśród orędowników zbliżenia niemiecko-polskiego. Może się pojawią. Szanuję pastora i jestem pełen nieprawdopodobnego wręcz uznania dla niego, ale on nie jest politykiem (...)."

T. Mazowiecki z wyraźną niechęcią mówił o wydarzeniach z grudnia 1981 r.:

„Nie wiem, czy to dobrze, że zostaliśmy sprowokowani do wynurzeń historycznych, dlatego prawdopodobnie najtrudniej będzie się w nich zgodzić. Wydarzenia 13 grudnia 1981 r. obserwowaliśmy z różnych pozycji. Nie podjąłbym się obrony ówczesnego stanowiska niektórych polityków zachodnich. Gdy byłem wówczas internowany, uderzyła mnie nie tyle wypowiedź pana kanclerza, co przyjazd Herberta Wehnera do Polski na początku 1982 r. Było to – tak to odebrałem – podzyrowaniem stanu wojennego. Temat naszej dyskusji jest inny i nie chciałbym tutaj dyskutować o słuszności bądź niesłuszności stanu wojennego, bo to jest zupełnie inna sprawa. Nie mógłbym też powiedzieć, że tylko po stronie ówczesnego rządu brano poważnie pod uwagę niebezpieczeństwo interwencji. Inna sprawa, czy można było tego niebezpieczeństwa uniknąć. Ten spór prawdopodobnie nie zostanie rozstrzygnięty, mimo ujawnienia wszystkich dokumentów, a my będziemy musieli pozostać każdy przy swoim zdaniu”.

T. Mazowiecki powrócił do kwestii stosunków polsko-niemieckich.

„Rozumiem i pozytywnie kwituję to, co pan kanclerz powiedział, że chciał on pracować na rzecz polsko-niemieckiego pojednania, odprężenia, zbliżenia itd. niezależnie od tego, jaki rząd jest w Warszawie (...). W 1989 r. jednak nastąpiła zasadnicza zmiana sytuacji Polski. I obawiam się, że w myśleniu socjaldemokratów niemieckich ta cezura nie jest dość wyraźna. I że polityka, której konstruktorem intelektualno-politycznym był Egon Bahr, to znaczy polityka spoglądania na polskie problemy jednak przez pryzmat problemów rosyjskich, tego rodzaju kontynuacja w myśleniu niemieckich socjaldemokratów istnieje – takie mam wrażenie, może niesłuszne (...).

Czy w polityce pojednania z Niemcami istnieje kontynuacja między premierem Rakowskim a mną? Powiedziałbym, że jest i kontynuacja, i zasadnicza zmiana. Działaliśmy w innej sytuacji. W PZPR były różne tendencje w stosunku do Niemiec, i były one politycznie rozgrywane. Zawsze wiedziałem, że pismo »Polityka« odgrywało w tym zakresie pozytywną rolę. Ja sam jako redaktor małego miesięcznika, ale o pewnym ciężarze gatunkowym, jak »Więź« wyraźnie widziałem te wysiłki »Polityki«. Generalna sytuacja, ustrojowa czy polityczna, była jednak taka, że zarówno z powodu ciężenia obozu, ale też ze względu na wewnętrzne ciężenie tamtej władzy, bywały sytuacje zupełnie zasadnicze, w których interes polityczny władzy był wyraźnie przedkładany nad

nadrzędny interes narodowy. Wspomnę hecę po liście biskupów polskich do niemieckich. Byłem wtedy posłem »Znak« i miałem możliwość rozmawiania w Sejmie z prominentnymi działaczami państwa i partii. Przestrzegalem ich przed tą hecą w imię interesu narodowego. A mimo to heca była. A przecież dla zmiany w stosunkach polsko-niemieckich miało to zasadnicze znaczenie. Był to początek świadomościowej przemiany, niesłuchanie istotny.

Dlaczego o tym mówię? Wydaje mi się, że od 1989 r. znaleźliśmy się i w Polsce, i po upadku muru także w skali międzynarodowej, w zupełnie innej sytuacji. W tym sensie nie można mówić o kontynuacji. Sytuacja jest całkowicie inna, choć nigdy nie zaczyna się od zera.

Kanclerz Kohl, reprezentant CDU – partii, która nie przewyciężyła do końca problemu pełnego uznania polskiej granicy, motywując to różnymi problemami wewnętrznymi, przedwyborczymi i wyborczymi – ma jednak wolę rzeczywistego ułożenia stosunków polsko-niemieckich na wzór niemiecko-francuskich, wolę absolutnie autentyczną. Ostatecznie w niezbyt dla niego łatwej sytuacji przedwyborczej wyraził przecież zgodę na to, by traktat graniczny został podpisany jesienią 1990 r., co uważam za fakt bardzo istotny. Były pewne nieporozumienia w sprawie naszego udziału w konferencji „2+4”. Uważałem, że jest to sprawa symboliczna dla Polski i niesłuchanie ważna, aby zagadnienia te zamknąć w momencie zjednoczenia Niemiec. I z perspektywy problemów, o których państwo tu dyskutują, to jest możliwości pojawienia się nacjonalizmu, uważam, że miałem wtedy rację w mym uporze (...).

Prowadzący dyskusję poprosił o próbę prognozy, zwłaszcza w odniesieniu do sytuacji w trójkącie polsko-rosyjsko-niemieckim. H. Schmidta zagadnął zaś o kwestię polskiej integracji w NATO. B. kanclerz sugerował jednak jak najszybsze odejście od myślenia w kategoriach trójkąta Rosja – Polska – Niemcy. Powtórzył, że

„Rosja jest i pozostanie mocarstwem, nawet jeśli tam przez 25 czy 50 lat będzie panował wewnątrzpolityczny nieład i gospodarcza nędza. Pozostanie mocarstwem światowym, tak jak przez ostatnie 200 lat była mocarstwem europejskim. Problemem nie jest stosunek między Niemcami a Rosją, lecz stosunek między mocarstwami światowymi. Amerykanie na przykład muszą uznać Chiny jako mocarstwo światowe, a Rosjanie uznają jako mocarstwo światowe Japonię. Być może są w trakcie uznawania wielkomocarstwowej roli Chin, nie zawsze jest to wyraźnie dostrzegalne. Aby naprawdę zrównoważyć Rosję w świecie, zarówno Polska, jak i Niemcy są o wiele za małe i zbyt mało znaczą. Przeciwwagi szukać trzeba zapewne w trójkącie Rosja – Chiny – Ameryka. Miejmy nadzieję, że pewną rolę odegra w tym trójkącie Unia Europejska.

Nie jest dla mnie jasne, jak powinny być rozwiązane sprawy bezpieczeństwa. To *partnership for peace*, które Clinton zaproponował zarówno Rosjanom, jak i Kazachom, Ukraińcom, Polakom czy Litwinom, jest samoułdą pana Clintona. Wiedza Amerykanów o dziejach wschodniej części Europy jest niewielka, nie mówiąc już o historii Azji Środkowej. Na dalszą metę świata potrzebny jest system bezpieczeństwa, w którym Ameryka, Rosja i Unia Europejska będą zasiadać obok siebie na równych prawach. Wyobrażenia niektórych niemieckich polityków, że Rosję trzeba włączyć do NATO, uważam za awanturnictwo. Rozciągnięcie NATO do Kamczatki i Władywostoku prowadziłyby do groźnego napięcia między Chinami a NATO, co mogłoby zagrozić losom świata.

A teraz problem, czy należy do NATO włączyć Polskę. Rok temu na zorganizowanym w Warszawie sympozjum wypowiedziałem się przeciwko temu. Powiedziałem, że należy wczuć się w psychikę oficerów rosyjskiego sztabu generalnego. Pułkownik sztabu generalnego może mieć 36 lat. Gdyby to się stało – to znaczy Polska weszłaby do NATO – rozumowałby on tak: »NATO, nasz wielki wróg, kilka lat temu przesunęło swą granicę z Łaby nad Odrę. Teraz chce przesunąć ją z Odry na Bug. Nie może nam się to podobać. Za 15 lat będę generałem armii, moi koledzy też – i wówczas to zrewidujemy«. Myślę, że jest to bardzo prawdopodobne.

Traf chciał, że tego samego dnia, gdy wygłaszałem w Warszawie mój odczyt, przebywał tam również pan Jelcyn. Powiedział on pani Suchockiej: chcecie do *NATO* – proszę bardzo, my Rosjanie nie mamy nic przeciwko temu. Byłem zdumiony. Ale nie byłem zdumiony, gdy cztery tygodnie później Jelcyn musiał wycofać swą zgodę, pod naciskiem rosyjskiego sztabu generalnego.

Wyobrażam sobie, że *NATO* może gwarantować bezpieczeństwo Polski, w każdym razie dopuszczam taką możliwość. Jako członek *NATO* nie chciałbym się angażować jako gwarant bezpieczeństwa Krymu, Ukrainy, Kirgistanu czy Tadżykistanu. To całkiem inny rząd wielkości. Na rzecz Polski – tak. Miałbym już duże trudności, gdyby chodziło o Estonię czy Łotwę, oba państwa mają 40 procent rosyjskiej mniejszości, której nie traktują zbyt mądrze – z tego może powstać konflikt (...)."

H. Schmidtowi odpowiedział T. Mazowiecki:

„Niestety muszę polemizować z panem kanclerzem. Na wstępie zaznaczę, że tak, jak istnieje problem pojednania polsko-niemieckiego, tak istnieje problem pojednania polsko-rosyjskiego. Jest to problem otwarty, i polityczny, i społeczny, konieczny do zrealizowania. Nie występuję tu z pozycji antyrosyjskich. Druga uwaga jest następująca: Rosja zawsze pozostanie mocarstwem, tylko problem polega na tym, że my nie jesteśmy w stanie zdefiniować, czym jest Europa i gdzie się kończy. Rosja jest w Europie, ale jest i pozostanie państwem euroazjatyckim. A Europa to taki dziwny twór, dziwny kontynent, który jakby przechodzi w Rosję, a równocześnie kulturowo przechodzi jakby w Amerykę, bo tam jest kulturowe dziedzictwo Europy. I jeżeli Europa ma coś znaczyć, to nie przez zakwestionowanie obecności Rosji w Europie. Trzeba jednak pamiętać, że Rosja pozostanie państwem zarówno europejskim, jak i azjatyckim. Dlatego też wydaje mi się, że dla Europy linia Francja – Niemcy – Polska jest linią zasadniczą.

Nie zgodziłbym się z panem kanclerzem w punkcie dotyczącym *NATO*. Zdaję sobie sprawę z tego, że dla Rosji jest to problem psychologicznie trudny i drażliwy. Chodzi o to, by zrozumiano, iż *NATO* nie jest tym, czego uczono oficerów rosyjskich, że nie jest siłą agresywną, która lada moment zaatakuje Rosję. Musi zapewne minąć całe pokolenie, żeby ten psychologiczny problem został przezwyciężony. Jeżeli jednak zakwestionujemy możliwość obecności Polski w *NATO*, to w gruncie rzeczy z tych samych powodów moglibyśmy zakwestionować obecność Polski w Unii Europejskiej, a więc integrację z Europą generalnie. A co się oferuje nam w zamian? Bycie w szarej strefie, w której nie jest zapewniony ani rozwój ekonomiczny, ani bezpieczeństwo.

Ciągle uparcie wracam do pytania: czy problemy Europy Środkowej i Polski widzi się jako problemy same w sobie, zasadnicze dla Europy, czy przez pryzmat problemów rosyjskich. Dlatego chce się nas pozostawić w szarej strefie, żeby nie ryzykować pokonywania trudności psychologicznych, które zresztą rozumiem. Stawia to pod znakiem zapytania trwałą stabilizację w Europie Środkowej”.

Inne spojrzenie zaproponował M. F. Rakowski, mówiąc:

„Ja teraz zdaje się realizuję prawdziwe pojednanie między Polakami i Niemcami, ponieważ całkowicie zgadzam się z tym, co powiedział pan kanclerz na temat *NATO*. Od momentu, kiedy polska polityka zagraniczna postawiła na porządku dnia sprawę wejścia do *NATO* uważałem, że marszałkowie i generałowie rosyjscy po prostu nie przyjmą tego, by natowskie dywizje stały nad Bugiem. Obstawiając przy tym. Mało tego: jest, panie premierze, różnica między wejściem Polski do Unii Europejskiej a uzbrojonymi dywizjami, które stoją na granicy. Czy nam się to podoba, czy nie.

To właśnie w Rosji – nie tylko dlatego, że ta generacja została tak wychowana – istnieje potrzeba zapewnienia sobie bezpieczeństwa, które tam widzi się w ten sposób, że *NATO* nie będzie stało u bram Ukrainy i Białorusi. I moim zdaniem nie ma z tego wyjścia. Pan mówi, że to jest kwestia pokolenia. Być może, chociaż jestem pod tym względem sceptykiem. I dlatego należałoby oprócz tych udzielonych Polsce przez *NATO* gwarancji, o których mówił pan Schmidt, szukać

jednak innych rozwiązań w ramach systemu bezpieczeństwa europejskiego. Przecież nie możemy zakładać, że *NATO* jest wieczne. Twierdzą zresztą, że wewnątrz *NATO* też rozważa się, co zrobić z tą organizacją. Świat biegunowy się skończył. Nie znam tak dobrze Rosjan jak inni, ale wydaje mi się po prostu nierealne, by Polska weszła do *NATO*. Gdyby tak się stało, to z tego pożądanego pojednania polsko-rosyjskiego niewiele wyjdzie. I tak już dostatecznie dużo jest tam, w Rosji, niechęci do nas.

Założmy nawet, że to jest ciągle pokolenie Jelcyna, Gorbaczowa i innych, wychowane w określonych warunkach i określonym myśleniu. Obawiam się mimo to, iż to myślenie, które jak gdyby ma na zapleczu świadomość wielkomocarstwową, będzie funkcjonowało w Rosji stale. Jeśli się poza tym patrzy na dzieje Rosji, to dostrzeże się, iż zawsze starała się ona zabezpieczyć sobie zachodnie rubieże. Dzięki Bogu już się to nie odbywa na zasadzie rozbiorów czy włączenia części Polski do Rosji, ale dążenie do tego, aby być maksymalnie zabezpieczonym, niestety istnieje. I dlatego całkowicie zgadzam się z panem kanclerzem, że to nie jest ta droga. I obawiam się, że na Zachodzie politycy doskonale zdają sobie z tego sprawę i będą odkładać wejście Polski do *NATO*, mimo różnych deklaracji. Ale to jest rodzaj takiego, jak mówią Anglicy, *lip service*, poruszania wargami. „Że owszem, chcemy was mieć – przoduje w tych deklaracjach pan Rühle – ale obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie”.

Pastor Schorlemmer dodał jeszcze kilka zdań do swych poprzednich wypowiedzi, mówiąc o swym rozumieniu polityki, a także o znaczeniu współczesnej kultury polskiej dla pojednania między obydwojma narodami. Mieczysław F. Rakowski przypominał w tym kontekście, że od 1949 r. do połowy lat osiemdziesiątych w Niemczech Zachodnich przetłumaczono ok. 900 tytułów literatury polskiej.

„Nie ma drugiego takiego kraju na świecie (nawet ukochani Francuzi, nie mówiąc już o Anglikach czy Amerykanach), w którym by przetłumaczono tyle dzieł, od romantyków polskich aż do dnia dzisiejszego. (...) To jest historyczne osiągnięcie tej generacji. Sądzę, że od 1985 r. wiele tytułów przybyło. Oby ich było coraz więcej”. Helmut Schmidt zaznaczył, że wielkie zasługi położył w tym dziele Karl Dedecius i jego Instytut. Tadeusz Mazowiecki zaś podziękował „Instytutowi Zachodniemu, że tę dyskusję zorganizował i nas do siebie zaprosił. Sądzę – powiedział – byłby premier – że jest to istotny wkład tej niezwykle ważnej polskiej placówki właśnie w kulturę polityczną”.

Opracowanie i tłumaczenie na podstawie zapisu magnetofonowego: Stanisław Żerko
(wypowiedzi nie były autoryzowane)

Dyskusję polityków poprzedziła dwudniowa sesja naukowa z udziałem socjologów, politologów i historyków, poświęcona „Dawnym i nowym zagrożeniom dla europejskich demokracji: nacjonalizmom i politycznym fundamentalizmom”. Otwarcia konferencji dokonali prof. dr Anna Wolff-Powęska, dyrektor IZ, oraz dr Wolfgang Scheel, dyrektor *Niedersächsische Landeszentrale für Politische Bildung*. Pierwszy spośród siedmiu referatów wygłosił prof. dr Zygmunt Bauman (Londyn). Zatytułowany *Od plemion do narodów i od narodów do plemion*¹ poświęcony był kryzysowi państwa narodowego we

¹ Ukazał się w „Przeglądzie Zachodnim” nr 4/1994, ss. 9-21.

współczesnej Europie: „Chwieje się trójnóg suwerenności militarnej, gospodarczej i kulturalnej” – stwierdził mówca. Jednocześnie jednak, zauważył Z. Bauman, idea państwa narodowego stała się bardziej atrakcyjna dla innych grup etnicznych, także tych, które pragną „wzniesić się” do rangi narodów (renesans postulatów i żądań lokalnych).

„Spóźnione” narody w Europie Środkowo-Wschodniej² były przedmiotem rozważań prof. dra Hansa-Heinricha Noltego (Hanower), który podkreślił, że niebezpieczeństwo radykalizacji, stale towarzyszące idei narodowej, jest w Europie Wschodniej szczególnie aktualne. Dotyczy to przede wszystkim terytoriów b. ZSRR, któremu prof. Nolte poświęcił najwięcej uwagi. „Tworzeniu się narodów”, czy renesansowi świadomości narodowej w tym regionie towarzyszą zakłócenia gospodarcze na wielką skalę, co przy kryminalizacji zachowań niektórych grup społecznych i intelektualnej bezradności tamtejszych elit prowadzi do nasilania się nastrojów radykalnych. Wszystko to może mieć fatalne skutki dla całego kontynentu.

Prof. dr Heinz-Georg Haupt (Halle) zajął się kwestią *Tożsamość regionalna i narodowa w Europie. Historyczne problemy i ich aktualne znaczenie*. Zdaniem referenta w centrum rozważań powinno się znaleźć pojęcie tożsamości narodowej, rozumianej jako pojęcie ideologiczne, a także problem utraty tejże tożsamości w niektórych kręgach poszczególnych społeczeństw. Ważną częścią składową tożsamości narodowej jest przy tym obraz wroga, stale obecny w dziejach państw i narodów.

Z kolei uwagi prof. dr Antoniny Kłoskowskiej (Warszawa) obracały się w kręgu tez teoretycznych, dotyczących kontrowersji wokół historycznych źródeł i przyszłości narodów. Autorka referatu³ zwróciła uwagę, że pomieszanie pojęć związanych z definicją narodu, państwa i społeczeństwa prowadzi często do nieporozumień interpretacyjnych. A. Kłoskowska przedstawiła następnie spory między teoretykami narodu, reprezentującymi różne orientacje. Ostrzegła przy tym przed nadużywaniem pojęcia tożsamość narodowa. Identyfikacja narodowa może bowiem, ale nie musi, być jednym z elementów tożsamości. To raczej mity i kultura są wyrazem zbiorowej tożsamości.

György Dalos (Wiedeń) swe refleksje zatytułował *Rewolucja bez obywateli. Krótki oddech nowych demokracji*⁴. Mówił m.in. o rodowodzie nowych demokracji środkowoeuropejskich, nadziejach i rozczarowaniach związanych z nową drogą rozwojową i niepowodzeniach towarzyszących przemianom, jakie dokonują się po 1989 r. Podkreślił zwłaszcza, że namiętności narodowe już od

² Tekst wystąpienia drukujemy w tym numerze, ss. 35-52.

³ Rozszerzona wersja referatu przygotowana do druku w Materiałach IX Ogólnopolskiego Zjazdu Socjologicznego znajduje się w numerze 4/1994 „Przeglądu Zachodniego”, ss. 1-8.

⁴ Tekst zatytułowany *Nacjonalizmy wschodnioeuropejskie* jest zamieszczony w tym numerze, ss. 69-74.

początku towarzyszyły procesom transformacyjnym (konflikt węgiersko-rumuński, czesko-słowacki, słowacko-węgierski, bułgarsko-turecki czy polsko-litewski). Rok 1989, będący zdaniem G. Dalosa próbą powtórzenia rewolucji francuskiej po 200 latach, przyniósł w efekcie zmęczenie polityką, jeśli wręcz nie apatię obywateli.

O *Nowych wyzwaniach dla młodych demokracji w Europie Środkowo-Wschodniej*, mówiła prof. dr Anna Wolff-Powęska (Poznań)⁵. Autorka referatu zaznaczyła, że kształtowanie się kultury politycznej jest zawsze procesem uczenia się. Wielu błędów zapewne nie można było ani przewidzieć, ani uniknąć. Po „odświętnym zapoczątkowaniu” procesów transformacyjnych nastąpił powrót do starych nawyków. Obserwuje się zwłaszcza narastanie procesów dezintegracyjnych, i to na różnych płaszczynach. Towarzyszy temu zwiększanie się dystansu między klasą polityczną a obywatelami. Brak edukacji politycznej sprzyja podatności na hasła demagogów, szczególnie zaś rolę odgrywa czynnik strachu przez przyszłością.

Jako ostatni wygłosił referat prof. dr Hans-Henning Hahn (Oldenburg), który mówił o *Wymiarze narodowym aktualnych przemian*. Głównym przedmiotem zainteresowania prof. Hahna były związki między tożsamością narodową a otwarciem granic po roku 1989. Wśród czynników przemian kwestii narodowej w Europie Środkowo-Wschodniej wymienił on: koniec zimnej wojny, falę nowych migracji, powstawanie nowych państw i właśnie otwarcie granic. Polemizował też z tezą o „rozbudzeniu narodowym”, według niego dość niebezpieczną, gdyż zakładającą istnienie czegoś, co dopiero musi być „rozbudzane”. Wracając zaś do kwestii granic, autor zwrócił uwagę, że linie graniczne pełnią funkcję „ochronną” nie tylko na zewnątrz, ale i od wewnątrz, często są bowiem tworzone przeciw społeczeństwu danego kraju.

Stanisław Żerko

⁵ Zob. w numerze 4/1994 ss. 75-91.